№ 40.

Warszawa, dnia 3 Października 1863 r.



NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. **w Warszawie** *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).— **W Cesarstwie i Królestwie,** z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).

Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.— —Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, prosimy adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie. ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

POGAŃSKIE HORDY

I

MIECZ JANA SOBIESKIEGO.

Dalszy ciąg.

Zaledwie Sobieski wypoczął z trudów tak świetnego zwycięztwa, układa nowy plan, napaści na Turków. W owéj chwili główne siły tureckie znajdowały się pode Lwowem; przednia straż złożona z 40,000 pomknęła się aż ku Wiśle, sam zaś sułtan Mahomet IV stał obozem u Buczaca przy granicy Podola, i jako przyszły spodziewany władca całéj Polski a następnie i Europy, zabawiał się najspokojniéj łowami strzeżony troskliwie przez otaczających go ciągle janczarów i spahów. Sobieski tu skierował pochód oddziału, a trzymając myśl swą w największéj tajemnicy, bez zmitrężenia czasu przemknął się przez rzeki, nagle jak piorun uderzył na obóz turecki, bankietujący jakby już w zdobytym kraju, rozproszył straże, zasłał ziemię trupem barbarzyńców, dostał się do samych namiotów, i dumnego władcę Ottomanów, pewnego iż na skinienie jego uklęknie wkrótce cała Europa, zmusił do haniebnéj ucieczki. Po porażce tak znakomitéj, hordy przerażone peregrynacją przymusową swego władcy, byłyby niezawodnie, owładnięte panicznym strachem, poszły albo w rozsypkę albo z wielką klęską wycofały się się z Polski, ale król Michał czy przez niechęć ku Sobieskiemu, czy niedowierzając aby kruciowe szeregi barbarzyńców mogły zostać rozbite przez ośmio tysięczny hufiec Hetmana, zawarł tajemny traktat w Buczacu i hańbą własną i narodu ukończył wojnę z taką dzielnością prowadzoną. Mocą bowiem tego traktatu, Porcie odstąpioną została Ukraina, Podole i Kamieniec, i zobowiązano się do płacenia jéj corocznego haraczu.

Sobieski zgryziony takiém zesromoceniem narodu, udał się do dóbr swoich dla odpoczynku

i przygotowania się do nowego spodziewancgo wkrótce boju z barbarzyństwem.

Sława zaś dzielności miecza Sobieskiego, rozbrzmiewając uwielbieniem po całéj Europie, obudziła we Francji chęć zyskania dla siebie tak potężnego wojownika, skutkiem czego król Ludwik XIV ofiarował mu godność para z tytułem księcia tudzież marszałkostwo Francji. Pokusa była wielką, ale miłość ojczyzny w Sobieskim była większą nad wszelkie dary i zaszczyty monarchów cudzoziemskich, odrzucił więc ofiarę i pozostał w kraju.

Ponieważ haracz do jakiego się król Michał zobowiązał, nie mógł być wypłacony, i haniebny traktat Buczacki za staraniem Sobieskiego i przychylnych mu niektórych magnatów, został zerwany, Turcy przedsięwzieli nową wyprawę jeszcze groźniejszą jak pierwsza, bo Mahomet IV już się nie taił, że zamyśla zawojować całe królestwo, i pomknąć hordy swe aż do samego Gdańska. Groźbę tę jawną i wszystkim wiadomą Europa przyjęła z milczeniem, i z zupełną obojętnością.

Cały więc ciężar wojny spadł na nieszczęśliwą Polskę któréj jak wówczas zwykle, brakło pieniędzy, wojska a mianowicie szczerego poświęcenia. W chwili jednak tak wielkiego niebezpieczeństwa, naród ocucił się, stanęły zastępy przeszło trzydziesto tysiączne, jakich dawno Polska nie widziała. W téj liczbie znajdowało się osiem tysięcy Litwinów pod dowództwem Michała Paca, a Kątski miał pod swemi rozkazami czterdzieści dział. Naprzeciw téj garstki obrońców chrześcijaństwa, Tatarów ciągnęło 60,000, Turcy bandami swemi roili się w całém Podolu, wszystkie miasteczka zamieniwszy na fortece a koscioły na meczety. Kamieniec i Bracław silnie obsadzone przez Turków, zaopatrzone były w groźną artylerję, w naprawione szańce i w zapasy żywności na lat trzy. Na granicy od strony Multan, w Chocimie seraskier Hussein, znajdował się z wojskiem zahartowaném w bitwach dochodzącém do 80,000, którego połowa składała się ze spahów i janczarów. Kapłan Pasza na czele 30,000 zbliżał się przez Multany, a inne wojska zajmowały stanowisko od Jass, aż do obozów nad Dunajem i pod Adrjanopolem. Nadto Doroszeńko ze swojemi kozakami wsiadł na koń, ale był to najmniéj groźny nieprzyjaciel, bo wiedziano, że łatwo przerzuci się na stronę Polski, jeżeli Bóg pobłogosławi jéj orężowi. Cała więc siła barbarzyńców oprócz kozaków wynosiła przeszło 200,000 zbrojnych rabusiów, na przeciw którym spieszyła garstka polskich wojowników, zaledwie licząca 30,000 ludzi, potężna nie liczbą, ale wiarą w Opatrzność Bożą.

Sobieski rozważywszy siły nieprzyjaciela postanowił wyminąć Podole i przez Multany wprost pójść na kapłana Paszę, pobić go, a potém uderzyć na Husseima obwarowanego w Chocimie. Wierny ułożonemu planowi, wysłał oddział pod wodzą Sieniawskiego chorążego wielkiego koronnego, dla rzucenia śmiałym napadem, popłochu na całą linję turecką. Sam zaś poszedł aż nad Dniestr, ale gdy stanął nad jego brzegiem i wojsko zobaczyło rzekę pokrytą krą, którą trzeba było wpław przebyć, przed sobą ogromne zastępy Turków, a za sobą stepy okiem niezmierzone, oswiadczyło, że chcę żywności, odpoczynku i stanowczego powrotu do ziemi ojczystéj. Nieustraszony Sobieski stanął przed upadłemi na duchu i odwadze i rzekł:

— „Chcecie żywności? znajdziemy ją w Multanach. Pragniecie odpoczynku? obiecuję go wam pod namiotomi niewiernych, jeżeli będziecie zwyciężcami: pokonani znajdziemy w niebie odpoczynek. Co do powrotu jeden jest tylko środek: iść za mną, walczyć i zwyciężyć. Inaczéj wolę grób znaleść na téj ziemi, co i was spotkać musi, bo patrzcie, gdzie jesteście i kto was ocali?"

Wojsko gotowe przed chwilą do nieposłuszeństwa, rzuciło się w nurty Dniestru krą okryte, i ciągnąc potém przez dni kilkanaście bagnistemi brzegami Prutu; po dwudniowym zaledwie wypoczynku, zatrzymało się i oświadczyło jednozgodnie, że ani kroku daléj się nie ruszy, Sobieski musiał uledz konieczności i kapłana Paszę zostawiając na późniéj, postanowił uderzyć na Husseima w Chocimie.

Chocim był to zamek warowny położony na wzgórzu na prawym brzegu Dniestru. Od strony rzeki nie podobny do dobycia; ze wszystkich stron był otoczony głębokiemi wąwozami, przez które prowadził most stanowiący kommunikacją z zamkiem. Obóz turecki obwarowany dawnemi szańcami, rozciągał się po nad samym Dniestrem, na wzgórzach które kończyły się nieprzebytemi przepaściami i bagniskami. U stóp zamku i obozu rozciągała się płaszczyzna poprzeżynana rowami i kanałami zaopatrzonemi w gęsto nabitą polisadę. Potężna artylerja strzegła téj warowni, a wkoło niéj pod namiotami spoczywało osiemdziesiąt tysięcy starego zahartowanego w bojach żołnierza tureckiego z dumnym swym hersztem Husseimem.

Pod takiém to warowném miejscem stanął Sobieski ze szczupłym swym oddziałem, złożonym

z młodzieży niedoświadczonéj, niekarnéj, źle -uzbrojonéj, znużonéj pochodem, niewygodą głodem i przejętéj mrozami listopadowemi. Noc upłynęła w ciszy, każdy bowiem czuł, że w boju jaki go czeka musi zostać albo zwycięzcą, albo trupem. Wznosiły się więc ciche modły do Pana Zastępów, wiara w moc Bożą połączyła serca wszystkich, zgasły nienawiści, niechęci, prywaty, i każdy siebie poświęcił na ołtarzu ojczyzny, jakby szedł na śmierć niechybną.

Nazajutrz d. 10 Listopada 1673 roku, wojsko uszykowane w półkole stanęło przygotowane do boju, dowodzone przez Jabłonowskiego, Dymitra Wiśniowieckiego i Stefana Czarneckiego. Czterdzieści dział wystawionych na przodzie, pod dowództwem mężnego Kątskiego, choć rażone ogniem muzułmanów, burzyło palisady broniące przystępu do okopów, i z taką dzielnością sprawiało się w swéj czynności, że wieczorem już można było pomyśléć o szturmie.

Sobieski jednak odłożył atak do dnia następnego, a choć śnieg sypał gęstemi kłębami, wojsko pod bronią trzymano przez noc całą, aby każdéj chwili gotowe było do boju. Rano wszyscy skostnieli od zimna, ujrzeli się obsypani śniegiem. Sobieski ubielony szronem, stanął przed szeregami walecznych synów ojczyzny i wskazując na obóz turecki rzekł:

— „Towarzysze! wydaję wam teraz nieprzyjaciela na wpół zwyciężonego. Ucierpieliście wprawdzie, ale Turcy wycieńczeni są do ostatka. Hordy te nagnane z Azji, nie zdołały wytrzymać jednéj doby, takiéj, jakąśmy tylko co pod gołém niebem przebyli. Mróz ich za nas pokonywa, patrzcie, jak padają gromadami. My przecież chociaż zziębnięci i znużeni trzymamy się i będziemy dosyć mieć siły do uderzenia na nich. Nie trzeba więcéj do ocalenia Rzeczypospolitéj od hańby i hołdownictwa. Pamiętajcie żołnierze, że walczycie za ojczyznę i że Chrystus Pan jest za wami, wydobądźcie więc wszystkie siły, cały mężny zapał polskiego wojownika, a za pół godziny odpoczniemy pod złocistemi pogan namiotami.”

Wojsko w odpowiedzi zaszczękało bronią, potém ukorzone w modlitwie na kolanach przyjęło błogosławieństwo spowiednika hetmańskiego jezuity Przeborowskiego, Sobieski zaś o świcie jeszcze z wielką pobożnością trzech mszy wysłuchał. Jak tylko się rozwidniło, a działo się to d. 11 Listopada w sam dzień S. Marcina, Sobieski wiedząc, że dla otrzymania zwycięztwa trzeba działać z wielką przezornością, bo nieprzyjaciel choć zdemoralizowany, jednak jest przeważny liczbą i obronném stanowiskiem, postanowił w jedném miejscu przypuścić fałszywy atak a na punkt na który rzeczywiście miał uderzyć, kazał działać całéj baterji armat. Wojsko zaopatrzone w faszynę do zapełnienia rowów stało w szeregach czekając niecierpliwie hasła do szturmu. Sobieski przekonawszy się o skutecznym działaniu artylerji, zsiadł z konia i stanąwszy na czele piechoty, ruszył naprzód, a za nim mężni obrońcy krzyża. Wówczas atak rozpoczął się na całéj linji polskiego wojska, i był tak dzielnym i natarczywym, że gdy Sobieski przebywszy fosy, zbliżył się pod same skały i tylko co wsiadł na konia, na zdobytych wzgórzach obozu tureckiego, pokazały się znak krzyża i powiewające chorogwie polskie. Hufce chrześcijańskie zobaczywszy to, wydały okrzyk tryumfu i radości, Hussein przerażony i zwiedziony fałszywym atakiem Czarneckiego, rzucił się gwałtownie w drugi koniec obozu, ale tym nagłym zwrotem nieład i przestrach rozwinął do najwyższego stopnia, bo wszyscy byli pewni, że w ucieczce szuka ocalenia. Janczarowie jednak nie stracili przytomności, stanęli w szyku bojowym, i dzielnie natarli na tysiące luźnych i ciurów, którzy śmiało wdarłszy się do warowni puścili się na rabunek ottomańskich namiotów. Sobieski poprowadził wojsko naprzód, hufce piesze Leszczyńskiego rzuciły się pierwsze, w ślad za niemi poskoczyła jazda Jabłonowskiego i ussarze i pancerni z proporcami w ręku zaczęli się wspinać na strome gór wierzchołki, trudne nawet dla piechoty do przebycia. Pac hetman litewski otoczony tysiącem przeszkód i niebezpieczeństw, pośpieszył także ku obozowi niewiernych, a gdy zaczęły się sypać potężne ciosy jazdy od stóp do głowy zakutéj w żelazo, złożonéj z młodéj walecznéj pełnéj zapału szlachty, między Turkami powstał największy popłoch, zdwajany rozpaczliwym krzykiem oblężonych i kobiet zamkniętych w haremach. Rozpoczęła się więc nie bitwa, ale rzeź prawdziwa; janczarowie najwytrwalsi w obronie, kładli się trup przy trupie, brocząc krwią własną ziemię. Reszta hordy, nie myśląc już o obronie rzuciła się z pośpiechem w ucieczkę, ku mostowi pływającemu na Dniestrze, i stanowiącém połączenie Chocima z Kamieńcem. Ale Sobieski przewidując że to nastąpi, wysłał z oddziałem szwagra swego Radziwiłła, który spuściwszy się z cudowną prawie tajemnicą w wąwozy, równo prawie z rozpoczętą bitwą opanował go i górującą nad nim bramę. Wprędce też Turcy, pchając się gniotąc i tratując, napełnili ciasne przejście prowadzące do mostu, powstał wrzask, hałas, rozpaczliwe krzyki, a gdy polska lanca, szabla i topór, zaczęły

spadać w potężnych ciosach na karki najezdników, który z hordy ocalał od żelaza rzucał się w nurty Dniestru krą i śnieżycą okrytego. Ale i tu ścigali ich ussarze i siekli niemiłosiernie, i gdy na lądzie padło Turków przy ucieczce do mostu do dziesięciu tysięcy, tyleż także potonęło w Dniestrze, tak że wody téj rzeki na kilka mil krwią się czerwieniły. W obozie czterdzieści tysięcy trupów pogańskich zasłało ziemię; z ręki Michała Radziwiłła zginął sam Husseim, mnóstwo paszów znaleziono między poległemi, wszystkie pola dokoła pokryte były rannemi i uciekającemi a z całego obozu tureckiego, nie ocalał ani jeden coby go nie dosiągł miecz Sobieskiego. Pomiędzy bogatą zdobyczą wszystkich zapasów obozowych, broni, koni, amunicji, a nawet rzeczy służących do zbytku, zdobytą została zielona chorągiew podarowana przez Mahometa IV Husseimowi w dowód szczególnéj łaski i uznania jego męztwa i rozumu. Dziś właściciel jéj, leżał pomiędzy stosami trupów, chorągiew znalazła się w ręku polskiego bohatera, i przesłaną przez niego została w hołdzie synowskim Papieżowi. Ojciec Swięty oceniając dar tak pobożny, kazał ją zawiesić u sklepienia kościoła S. Piotra, aby przez długie wieki świadczyła o zasłudze polskiego oręża dla całego chrześcijaństwa. Chorągiew ta do dziś dnia zdobi starożytny kościół S. Piotra, a stanowiąc drogocenną pamiątkę, jest zarazem wymownym dowodem męztwa naszych ojców i pradziadów.

(d. n).

KORRESPONDENCJA Z PARYŻA.

Wszystko jest nowością dla nowoczesnego Babilonu, i lada drobiazg może mieć w nim przywiléj, że przez dwadzieścia i cztery godzin zaćmi największe i najważniejsze sprawy: ale nigdzie tak prędko nowość się nie zużyje, nigdzie przedmiot, istotnie przez się znaczny, nie popada tak gwałtownie szybko w dziedzinę najpospolitszéj powszedniości, jak w Paryżu, téj stolicy cywilizacji i kuźni myśli wstrząsających całym światem. Do rzędu wypadków tego rodzaju należą poselstwa za-europejskie, pohańskie, których kształty fizyczne, obyczaje, język i stroje zajmowały już kilkakrotnie ciekawców paryzkich, a wiadomo, że rodzaj tych ostatnich liczy się nie na tysiące, lecz na krocie. Po Apollińskiéj piękności Miesie perskim, którym przed kilką laty zachwycały się wszystkie damy stolicy, aż za jego powrotem do Teheranu ukazała się w tutejszych dziennikach wiadomość, że ów Lovelace salonów był prawdziwie z perska serajowym po prostu okrutnikiem, który cały zastęp żon swoich zwykł, w celach.... hygienicznych, po kolacji częstować bastonnadą; po ambasadach Marokańskiéj, Syamskiéj i Japońskiéj, których zapowiedziana na pierwszym lepszym koncercie obecność wystarczała przemyślnemu przedsiębiorcy na zyskanie całe nieszpetnéj fortuny; po wszystkich tych dziwolągach i z nazwiska i z miny i z czupryny, przybyli tu w zeszły Poniedziałek nadzwyczajni posłowie i ministrowie pełnomocni Jego Cesarskiéj Mości *Tu-Duka*, cesarza Anamskiego czyli Kochińchińskiego (jak wiadomo, kraj ten reprezentowany dotąd był u nas jedynie przez *kury* tegoż nazwiska). Otóż przybyli ci posłowie: Jaśnie Wielmożni Sza-Wa-Sze, Ka-Ki-Ku i Su-Kin-Son, ale któżby uwierzył? z debarkaderu kolei Marsylskiéj przejeżdżali przez bulwary i pola Elizejskie na ulicę Lorda Byrona, przejeżdżali z eskortą dwóch oddziałów dragonów, w powozach otwartych, z całą butą wschodnich magnatów, gardzących litościwie nieuctwem tych biednych barbarzyńców, którzy nie mają niewolników, kontentują się jedną żoną i przekładają wieprzowinę nad mięso szarańczy, przejeżdżali nie racząc nawet okazać zdziwienia na widok tych wszystkich cudów cywilizacji, jakie Paryż przed niemi roztaczał. Ale téż odpłacili się im wzajemnością gapie paryzcy, którzy ledwie na chwilkę przystawali, by popatrzéć na orszak, i potém szli daléj, każdy w swoją stronę, aby się pogapić gdzie indziéj, jak gdyby Anam leżał tuż za przedmieściem Passy, t. j. o tylo tylko daleko, że nie można się tam wybierać co Niedziela. Być może, iż téj obojętności winien jest kostjum Anamitów, skromny i prosty, bez krzyczących jaskrawości, bo złożony jedynie z ciemnych bluzek jedwabnych, długości księżéj sutanny, na głowach zaś, zamiast śpiczastych kapeluszy, czerwonych pasów, lub złocistych zawojów, okręcone mają zwyczajne, również ciemnego koloru fulary, z wystającym jednym od wierzchu cyplem, a zatém związane zupełnie tak samo, jak to nosić zwykły w niektórych kraju stronach nasze wiejskie kobiety. Najciekawszéj części stroju kochinchińskiego, w przejeździe wprawdzie nie widać, choć uprzedzeni już o tém z Marsylskich Gazet Paryżanie wspinali się, by zobaczyć bose nogi Ich Excellencji, którzy u siebie zapewne (jak to mianowicie wiadomo o Jaśnie Wielmożnym Su-Kin-Son), są wielkorządzcami prowincji i naczelnikami kraju, a przecie chodzą bez butów, a nawet bez ostrogi. W każdym razie udepnięcie ich musi być mniéj od naszego bolesne.

Fizjonomie panów posłów podobne są do kałmuckich *en laid*: wzięciu ich atoli i ruchom pewnego powabu i szykowności odmówić nie można. W Marsylji, gdzie byli obecni na przedstawieniu pierwszego aktu z *Wilchelma Tella*, *Cyrulika Sewilskiego* i ślicznego baletu *Narody*, z wielkim taktem i powagą wytrwali do końca, choć bez wątpienia dziwném im się wydać musiało, że żadnego aktora w czasie reprezentacji nie położono na brzuchu i nie skarcono pletnią. Taki bowiem bywa sposób okazania choćby najlżejszego niezadowolenia artystom Kochinchińskim.

— Właśnie w téj chwili dostrzegam, że najznaczniejszą część dzisiejszego mojego listu poświęciłem osobliwościom zamorskim, z któremi ani we Francji, ani u nas nic się nieda porównać, i z których dlatego téż pożytecznego i moralnego zastosowania do łaskawych Czytelniczek moich uczynić nie mogę. Uzupełnię zatém dzisiejszą korrespondencję innym fakcikiem, w podobnym wprawdzie kierunku, ale z którego jednak da się może wyciągnąć jaka nauka i korzyść. Chcę mówić o piętnastoletniéj ludzkiéj tygrysicy z Lille, która temi dniami przybyła do Paryża. Nazywa się *Rose Vertu*, a pod względem kształtności rysów, wytworności wzrostu i kibici, blasku oczów, lśniącéj barwy dwułokciowych warkoczy, przezroczystéj białości płci, słodyczy głosu i t. d., i t. d.. jest ona prawdziwym modelem piękności i wdzięku. Ale.... i Rose Vertu ma swoje *ale*. Na téj cudnie anielskiéj twarzy, na téj łabędziéj szyjce, tych utoczonych jakby z kości słoniowéj ramionach, na tych drobnych i zakończonych niby w piramidki rączętach, na pulchnych nóżkach arystokratycznie podbitych, na całém zgoła ciele szerzą się tysiączne delikatnym puszkiem pokryte czarne cętki, które pięknéj Róży Vertu nadają pozór zupełnie tygrysi. Dziwna zaiste igraszka natury! w któréj nic podobnego uczeni nasi dotychczas nigdy nie dostrzegli! tém dziwniejsza, że, jak wieść niesie, serce ślicznéj potwory jest i miękkie i czułe, że w nawyknieniach jéj nie masz nic drapieżnego, lecz że owszem z godném współczucia poddaniem się znosi chciwość rodziców, którzy z pokazywania jéj za pieniądze utworzyli sobie haniebny sposób do życia. Cóż na to powiecie, wy z gładką wprawdzie i bez żadnych skaz alabastrową powierzchnią, ale z sercem także lodowo kamiennéin, co ty powiesz piękna moja tygrysico, któréj dusza cętkowana w młodych leciech gorzką mnie napełniała rozpaczą? nie przeoczyłaż ciebie matka Przyroda? nie ciebieżby to raczéj wypadało obwozić po świecie, na postrach czującéj młodzieży, którą ujmie gładkie lico, ale wnet zrazi drapieżny włos i pazur, stojący na straży i tak już marmurowego serduszka? A mógłbym dziś już obwozić bezpiecznie i bez szwanku na własnéj spokojności, bo w służbie ludzkości bywają miesiące, które się liczą za lata pod względem sądu wytrawnego o rzeczach i ludziach: mnie więc pazór tygrysi w nikim już nie ustraszy, skoro się prawdziwym i nieraz w żywe zaglądało ślépie, zaś w naszych Różach Vertu inny wielbimy ogień, niż wzajemności.

Otóż i ten jest sens moralny, jaki z piętnastoletniéj, ludzkiéj tygrysicyj wyciągnąć dziś zamierzyłem.

Paryż, d. 26 Września.

*

---

*
* *

Zastanowiwiszy się dobrze nad naszym przemysłem, przychodzimy wprędce do smutnego przekonania, że nie ma prawie jednego przedmiotu, któregoby do kraju nie sprowadzono z zagranicy. Zajrzyjmy do ogromnego handlu braci Lesser, zaopatrzonego prawie we wszystko od trzewiczka dla lalki, do elektrycznego świecznika na głowę modnisi i elegantki, wszystko tam znajdziemy nie naszém tylko zagraniczném, bo biedny nasz kraj nawet sztyftów drewnianych przez szewców używanych, nie może po takiéj cenie wyrabiać jak zagranica. Przejrzyjmy inne handle wielkie i małe, świecące przepychem lub skromnością, dwustozłotowe wina albo dwugroszowe bułeczki, a wszędzie w magazynie, handlu, składzie, kramie, handelku, straganie, nawet w skrzynce obnoszonéj przez usłużnego żydka, zawsze znajdziecie więcéj przedmiotów cudzoziemskich, jak wyrobu miejscowego.

To téż obuwie mamy robione z berlińskiej skóry, nabijane sztyftami wiedeńskiemi, i kalosze amerykańskie, ubranie z paryzkiego kortu szyte angielskiemi igłami: bieliznę z holenderskiego, saskiego, lub irladzkiego płótna, przygotowaną na zagranicznych maszynach do szycia: raczymy się owocami sprowadzanemi z Węgier lub Wiednia: do herbaty lub kawy używamy bułeczek wypiekanych z banackiéj mąki, palemy zagraniczne cygara, zażywamy tabakę francuzką albo holenderską, po ulicy jeździmy omnibusami berlińskiemi lub wiedeńskiemi; po kolei żelaznéj ciągną nas lokomotywy londyńskie, przesuwając się szparko po szynach sprowadzonych z Anglji: przy stole zajadamy jarzyny a nawet kapustę zagraniczną: murujem za-

granicznêm wapnem przy budowie mostu na Wiśle, posługujemy się zagranicznym rzemieślnikiem: piszemy zagranicznemi stalówkami lub hamburgskiemi gęsiemi piórami, bo nawet piór dobrych polskie gęsi wydać z siebie nie mogą. Listy kopertujem w zagraniczne koperty, pieczętując często zagranicznym lakiem lub opłatkiem: w kąpieli letniéj jeżeli chcemy większego draźnienia skóry, musiemy wycierać się zagranicznym ręcznikiem, bo u nas takich nie wyrabiają; włościanki stroją się w zagraniczne korale i w bawełniane wyroby; pisma i książki czytamy odtłaczane na zagranicznéj farbie drukarskiéj: słowem gdzie się rzuci okiem w prawo i w lewo, na ludzi, wystawy sklepowe, lub nawet bydlęta, wszędzie zagranica włazi w oczy. W potocznéj rozmowie chwaląc jaki przedmiot, z pewną przechwałką powiadamy, że to zagraniczny, a nawet pisma perjodyczne, ratując się w głodnych swych fejletonach, karmią je w tłumaczeniach zagranicznym produktem.

Jest to tylko cząsteczka tego, co z musu sprowadzamy z zagranicy, ale któż zdoła wyliczyć wszystkie inne przedmiota handlu, rywalizujące z naszemi i coraz bardziéj wypychającemi je z targów naszego kraju? kto naprzykład uwierzy, że do pierników, fabrykanci warszawscy zmuszeni są miód sprowadzać aż z Ameryki lub z wyspy San Domingo? A jednak tak jest: w tych dniach w fabryce pierników p. Witchena wprost O. O. Reformatów umyślnie skosztowałem téj zamorskiéj słodyczy, aby poznać własnym smakiem miód wyrobiany przez amerykańskie pszczoły. Dobry on, ani słowa, słodki, wonny, zbierany po większéj części z trzciny cukrowéj, więc i smakiem i zapachem różny od naszego, ale goryczą napełnił moje serce, że nawet zagraniczne pszczoły już zaczynają przewagę brać nad naszemi. Sprowadzanie zaś tego miodu, nie jest wypływem zamiłowania cudzoziemczyzny albo jakiegoś nagannego uprzedzenia do naszych pracowitych pszczółek, ale wypadkiem smutnéj konieczności..... zupełnego braku miodu w Polsce, tak że gdyby nie Ameryka, pierniki u nas skazaneby zostały na zatracenie.

Żeby Was oznajmić bliżéj z handlem miodowym i dać choć małe wyobrażenie, jak u nas produkcja każdéj rzeczy jest drogą, podam Wam małe, ale dosyć ciekawe szczegóły.

Otóż w Warszawie, jak dziś, za kamień trzydziesto dwu funtowy miodu naszego płaci się złp. 34, sprowadzony zaś z Ameryki, po przebyciu pół kuli ziemskiéj, w Hamburgu, cena kamienia wynosi złp. 19. koleją przywieziony do nas, płaci się kamień złp. 27. Że jednak w kamieniu naszego miodu, mieści się zawsze funt pszczół i dwa funty wosku wartości około złp. 7, więc cena równoważy się. Ale amerykański ma być podobno słodszy, i co najważniejsza, że tylko czeka skinienia, aby się z Ameryki przesiedlić do Europy i to w kufach, choćby tysiąc centnarowych. Jeżeli zaś rozważymy koszta transportu przez cały ocean Atlantycki i Niemieckie morze, potém przejażdżkę koleją z Hamburga do Warszawy, podwyższającą wartość jego już o złp. 8 na kamieniu, to można przypuścić dosyć zasadnie, że miód w Ameryce albo dają darmo, albo za tak małą cenę, że o niéj nie warto nawet mówić.

Miód bowiem ten, choć przypuszczam że utrzymanie pszczoły nic tam nie kosztuje, sam z ula nie wyjdzie, nie oddzieli się od wosku, nie sklaruje, beczki także nie napełni. która na centnarów 12 jakie tu widziałem, zawsze warta najmniéj złp. 6 lub 7. Potém beczki z miodem muszą być dowiezione do portu, po najgorszych drogach jako w kraju dopiero się porządkującym, późniéj z wozu przeniesione na mniejsze statki a z tych na okręta. Wszystko to dopełnia ręka ludzka zwykle droga kosztująca, jakim więc sposobem miód z Ameryki sprowadzony do Warszawy, nie tylko w cenie nie przenosi polskiego, ale zawsze choć troszeczkę jest tańszym od niego, to trudno sobie wytłumaczyć.

Tak więc nawet pierniki egzystować dziś mogą, tylko przy pomocy zagranicznego miodu, ale w tym smutnym fakcie jest i mała pociecha. Powiadają bowiem, że tegoroczny brak dowozu jego do Warszawy powstał z rozwiniętéj nadzwyczajnie fabrykacji pitnego miodu, którym coraz bardziéj z karczem rugują przeklętą gorzałkę. Jeżeli tak jest rzeczywiście, jeżeli miód ma bić spirytus, otwórzmyż mu drzwi na roścież do naszego kraju, i przyjmijmy z wszelką gościnnością jako najserdeczniejszego naszego przyjaciela. Zastanawiając się jednak nad tém, boleścią napełnia się serce, do czego to nas doprowadzi? Przyjmując więcéj z zagranicy jak dostarczając na wywóz, musiemy w końcu przyjść do braku i zupełnego wycieńczenia. A jaka na to rada? Oto nauka i praca. Razem z wyrobami sprowadzamy i rozum z zagranicy. Niech nasi panicze a zwłaszcza krociowi, zamiast przygotowywania się na śledzienników agronomji, gospodarujących planujących i bankrutujących, przypaszą fartuch rzemieślniczy, zaprzęgną się do warsztatów różnych fabryk zagranicznych, i ucząc się, pracując, dociekając, badając znosząc trud i niewygodę, powrócą do kraju z ręką grubą, spracowaną, ale z głową umiejętną, specjalnie wykształconą, i niech w kraju otwierają warsztaty, a dowóz zagraniczny pomału zmniejszając

się, z pewnością wkrótce dojdzie z wywozem do pewnéj równowagi, a późniéj stanie się jego sługą uniżonym.

Uczmy się, ale dobrze z gorącą chęcią nauczenia się, zarówno agronomji jak rzemiosła i przemysłu, a wówczas w młodzieży zasobniejszéj, posiadając dobrych agronomów, nie papinkowatych zarozumiałych panków, umiejętnych dyrektorów fabryk, znających się na handlu i jego tajemnicach, wprędce kraj zakwitnie nowém życiem i bogactwem, i z wycieńczenia do którego dąży, dojdzie do zamożności i przymusi do ogólnego wszystkich szacunku. Te cuda utworzy tylko nauka i praca, uczmy się więc i pracujmy, a Bóg dopomoże i reszty dokona.



W téj porze przejścia z lata do jesieni rzadko kiedy zdarzy się widzieć co nowego każdy bowiem nosi to co ma, ociągając się ze sprawieniem świeżych sukien, do czasu kiedy moda wyraźniejszą przybierze postać. Mimo to widzieliśmy w magazynie panien Kuhnke, parę ładnych sukien jesiennych, które tu opiszemy.

Jedna z nich kamlotowa, w bardzo delikatne białe prążki podłużne, ledwie dostrzeżone okiem miała u dołu spódniczki falbankę karbowaną na cztery palce, z gładkiego czarnego kamlotu; nad falbanką szła czarna pliska téjże szerokości, przystębnowana z obu stron białym jedwabiem, po bokach kieszonki okrągłe, objęte pliską w koło, u góry zakończone falbanką. Stanik gładki, spięty na lawowe guziki czarne z białém, miał przody tworzące kamizelkę i grecki kaftaniczek oznaczony wodą karbowaną, z dwoma po obu stronach główkami, wszyty był w czarny pasek, obstębnowany biało. Rękawy wązkie, zapinane do łokcia na guziki, miały w górze buffę a nad nią epolet, karbowany z czarnego kamlotu.

Druga suknia, z fularu wełnianego, zupełnie u dołu gładka, miała stanik z karczkiem wszyty w pasek. Niższa część stanika marszczona od karczka, z zębem podniesionym w górę, tak zprzodu jak na plecach, tworzyła jakby pas szwajcarski. Na szwie dana była ruszka czarna fularowa, obstębnowana biało, przechodząca wkoło stanika. Rękawy szerokie od ramienia, zwężone zupełnie u ręki tworzyły w górze buffę podpiętą ruszką fularową.

Oprócz tych sukien zwrócił także uwagę naszą bardzo ładny szlafroczek ranny czarny kamlotowy ścięty po bokach, miał on formę wielkiego kaftana, zakończonego u dołu szerokim nadpowietrznym wolantem, który nie przechodził w około, ale od boków łączył się z przodami. Nad obrębem u tegoż wolanta, dana była pliska fularowa na dwa palce, obstębnowana po obu stronach, nad wolantem zaś szły takież same dwie pliski przody otwarte, spięte na rząd stalowych guzików, i na małe szmuklerskie pętelki, przybrane były klapkami z fularu, ułożonemi w drabinkę. Plecy ściągały się na sznurki; do opasania służyła szeroka szarfa jedwabna przewiązana z boku na węzeł. Rękawy paletotowe przybrane były u ręki dwoma pliskami odwróconemi do łokcia. Oprócz tego dany był na szwie rząd stalowych guzików.

W tymże magazynie uważaliśmy czarne kamlotowe krynoliny, wyborne na jesienne błoto. W górze są one bardzo wązkie, zupełnie przystające do figury, u dołu szerokie w miarę przedłużone cokolwiek z tyłu dla lepszego odsadzenia długiéj sukni. Krynolina taka o ośmiu lub dziesięciu stalkach, kosztuje od złp. 53 gr. 20 do 60. Ponieważ są wszyte w pasek elastyczny, dadzą się do każdéj figury zastosować. Kto chce, może je zakończyć u dołu, czarną karbowaną falbaneczką.

Kapelusze jesienne i zimowe których wzory nadeszły już do niektórych magazynów naszych, odznaczają się tém, że są znacznie mniéj zpiętrzone nad czołem niż zeszłoroczne. W magazynie pani Sobolewskiéj uważaliśmy ładne kapelusze z czarnego jedwabnego rypsu, ubrane z wierzchu aksamitem czarnym i koronką. Podpięcie składa się z koronki nagarnirowanéj w górze, przystrojonéj z boku kokardą aksamitną, lub bukiecikiem z aksamitnych kwiatów.

O UBIORACH MĘZKICH.

Pora jesienna, a za nią zbliżająca się nieuniknniona zima wpływa jak zwykle na odmianę odzieży naszéj. A chociaż trudno dopatrzyć, aby ktoś gonił za modą, wszelako z saméj natury rzeczy wynika, iż lekką żakietkę i korcikowe okrycie zastępują ubrania z cieplejszych materjałów wyrabiane. Jednostajność z małemi wyjątkami, o któ-

rych niżéj, charakterystyczną jest cechą ubiorów naszych: małoznaczące, a prawie żadne nie dostrzegają się zmiany w kroju rękawów, kołnierza lub stanu: kolor czarny, ciemno szaraczkowy, a niekiedy granatowy jest pospolicie obecnie noszony.

Zaczynamy od najważniejszego jesiennego i zimowego ubrania, jakiém jest ciepły i przestronny tak zwany *paltosak.*

Robi się on krojem luźnym, gdyż przeznaczony na wierzchnie ubranie: rękawy jak dotychczas szerokie, nieco ku mankietowi zwężone; kołnierz wązki, najcześciéj aksamitny; obszywa się taśmą lub suknem; guziki zwykle się dają rogowe, matowe z massy lub hebanu. Paltosaki się robią mniéj lub więcéj z materjałów grubych, stosownie do tego, czy mają służyć na jesień, czy na zimę. Za materjały więc służą: ratyna kosmata, gruby angielski kort pleciony, koloru czarnego lub granatowego, alpaga w dobrym gatunku i t. d. Stosownie do tego daje się za podszewkę: atłas hiszpański na watę, ale gdy ta obecnie jest dosyć droga, to biorą krawcy wigoń lub tańszą od niéj baję, kort gruby lub tym podobnie. Palta jesienne, jako lżejsze, gdy się robią z materjałów grubych, podszewki wcale nie mają.

Oprócz opisanych wyżéj paltosaków, są obecnie wielce używane *surduty* długie jesienne, tak zwane Napoleońskie. Dochodzą one za kolana, robią się także z ciepłych materjałów, a na podszewkę daje się kort lub wata pokryta atłasem hiszpańskim. Starannie obszywają się taśmą lub suknem: po bokach mają klapy przykrywające kieszenie. U takich surdutów stan zwykle bywa nieco dłuższy od zwyczajnego.

Na zwykłe codzienne ubranie pod palto lub futro służą *marynarki,* jako ciepłe i wygodne. Robią się z ratyny, szynszeli lub tym podobnego materjału. Krój dotychczasowy nie zmienił się.

Za ubranie wizytowe, lub w uroczystszych chwilach używane, uważa się *tużurek* gładki, jednorzędny, oraz tak zwana *galicjanka,* bez żadnych wyszyć szmuklerskich, jednorzędna, zapinająca się na haftki z kołnierzem wykładanym stojącym.

Zamiast ciągle używanych znanego kroju żakiet pojawiły się u nas innego rodzaju żakiety, które przypominając zarzucone od dawna żokiejki angielskie, wcale się dobrym gustem nie odznaczają, bo stan niesłychanie mają długi dochodzący 5 ćwierci, gdy na spódnicę ledwie 1 i pół ćwierci zostaje. Jestto wyraźnie spekulacyjka obliczona na próżność pewnych bogatszych młodzików, którzy radzi choć ubraniem od pospólstwa się różnić. Próżno téj mody szukaliśmy w najświeższych żurnalach paryzkich.

Pantalony zwykle się noszą dotąd krojem francuzkim, to jest szerokie w kolanie, a przy nodze zwężone, jako wielce praktyczne, gdyż nie tak łatwo szargają się i niszczą u dołu. Do staranniejszego ubrania należy miéć pantaljony tego samego koloru co i kamizelka, która się robi jednorzędna wysoko zapinająca się. Kołnierz niewielki wykładany z małemi klapkami Kamizelki z czarnéj materji zawsze się uważają za najwłaściwsze na większe wystąpienie.

Z jesienią kapelusze ustępują miejsca czapkom, których fason nie ustalił się jeszcze.

Opis ryciny.

Figura 1. Suknia czarna mantynowa, u dołu cztery fałdowane falbanki. Stanik wycięty, z pelerynką gipiurową czarną. Rękawy zaokrąglone obszyte falbaneczką. Pod spód rękawki tiulowe bufowane. Czepeczek z tiulu jedwabnego, przybrany nad czołem diademem z czarnych kwiatków. Po bokach spadają dwie barby, ogarnirowane ruszką.

Figura 2. Suknia muszlinowa popielata, u dołu wolancik fałdowany w odstępach przeciągnięty w górze wstążką. Nad wolantem dwie bufki. przepinane pukielkami ze wstążki czarnéj. Stanik wycięty, rękawki krótkie, berta przybrana dwoma bufkami. Szarfa jedwabna, przewiązana z tyłu na węzeł, zakończona szeroką frendzlą.

Figura 3. Spódniczka z wełnianego fularu u dołu gładka. Pas szwajcarski z szelkami, objęty aksamitką czarną. Pod spód koszulka muszlinowa, układana w zakładki z długiemi rękawami. Na głowie siatka. przybrana z przodu kokardą z barbki koronkowéj.

Ubranie dziewczynki. Suknia z lustryny w kratkę, u dołu trzy czarne falbaneczki. Stanik wycięty z bertą założoną z przodu na krzyż odwróconą do tyłu i kończącą się długiemi końcami. Berta ogarnirowana wstążeczką.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru, dołącza się rycina z modami.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.



TYGODNIK MÓD

w Warszawie